

**JOSEPH
CONRAD**

PLACÓWKA
POSTĘPU

Joseph Conrad
Placówka postępu

«Public Domain»

Conrad J.

Placówka postępu / J. Conrad — «Public Domain»,

Placówka postępu Josepha Conrada to opowiadanie, które może być postrzegane jako mniej udany pierwowzór Jądra ciemności. Pierwowzór nie pod względem fabuły, lecz ogólnego założenia o destrukcyjnym wpływie mentalności kolonialnej na moralność. Opowiadanie traktuje o dwóch białych, uosabiających mieszczańską przeciętność, przebywających w placówce handlowej w głębi Afryki. Ich jedynym zadaniem jest pobieranie od miejscowych plemion kości słoniowej. Sytuacja komplikuje się, gdy jeden z ich podwładnych uznaje, że więcej tego materiału można pozyskać, handlując żywym towarem. Europejczycy, stając wobec faktu dokonanego, reagują wpierw oburzeniem. Cała sytuacja uruchamia w nich jednak emocje, które w końcu doprowadzają do morderstwa i samobójstwa.

© Conrad J.

© Public Domain

Содержание

I	5
Конец ознакомительного фрагмента.	9

Joseph Conrad

Placówka postępu

I

Zarząd stacji handlowej powierzono dwom białym. Kayerts, naczelnik, był krępy¹ i tłusty; Carlier, jego pomocnik, odznaczał się wysokim wzrostem, wielką głową i bardzo szerokim korpusem, osadzonym na długich, cienkich nogach. Trzecim człowiekiem należącym do zarządu był Murzyn z Sierra Leone, który utrzymywał, że jego nazwisko brzmi Henry Price. Atoli – z jakiejś tam przyczyny – krajowcy znad dolnej rzeki nazywali go Makolą, a imię to przyłgnęło do niego w ciągu wszystkich wędrówek po okolicy. Mówił po angielsku i po francusku ze świegotliwym akcentem, miał piękny charakter pisma, znał się na prowadzeniu ksiąg i w najskrytszej głębi serca żywił kult dla złych duchów. Żona jego, Murzynka bardzo wielka i bardzo hałaśliwa, pochodziła z Loandy. Troje dzieci tarzało się w słońcu przed drzwiami niskiego domku Makoli, przypominającego szopę.

Milczący, nieprzenikniony Murzyn lekceważył obu białych. Miał nadzór nad małym składem z gliny pokrytym strzechą z suchych traw i udawał, że prowadzi dokładny spis paciorków, bawełnianych tkanin, czerwonych chustek, miedzianego drutu oraz innych towarów tam złożonych. Oprócz domku Makoli i składu znajdował się na polance stacyjnej tylko jeden większy dom. Zbudowany był porządnie z trzciny i miał ze wszystkich czterech stron werandę. Składał się z trzech pokoi. Środkowy służył za salon; stały tam dwa proste stoły i kilka krzeseł. W dwóch pozostałych były sypialnie białych. Łóżko z siatką od moskitów służyło w każdej z nich za całe umeblowanie. Podłoga z desek usłana była przedmiotami używanymi przez białych; leżały tam otwarte puszkami na wpół opróżnione, podarte odzienie, stare obuwie: wszelkie rzeczy brudne i wszelkie rzeczy połamane, które gromadzą się tajemniczo naokoło nieporządnym ludzi. Było tam jeszcze jedno mieszkanie niedaleko od zabudowań. W tym mieszkaniu, pod wysokim krzyżem odchylonym znacznie od pozycji prostopadłej, spoczywał człowiek, który patrzył na początki tego wszystkiego; który zaprojektował placówkę postępu i kierował jej budową. W swym kraju był chybionym malarzem; zmęczywszy się pościgiem za sławą – i to pościgiem o pustym żołądku – przybył tutaj, poparty wysokimi protekcjami. Był pierwszym dyrektorem stacji. Makola pielęgnował w chorobie dzielnego artystę, który umarł na febrę w świeżo ukończonym domu. Murzyn odniósł się do tego faktu ze zwykłą sobie obojętnością wyrażającą się w zdaniu: – Wiedziałem, że tak będzie. – Po śmierci malarza mieszkał czas jakiś na stacji sam ze swoją rodziną, księgami rachunkowymi i Złym Duchem, który sprawuje rządy w krajach leżących pod równikiem.

Makola umiał doskonale radzić sobie ze swoim bogiem. Może przebłagał go obietnicą, że z czasem dostarczy mu do zabawy więcej białych ludzi. W każdym razie dyrektor **Wielkiej Spółki Handlowej**, który zjawił się na parowcu przypominającym olbrzymie pudełko od sardynek z umieszczoną na wierzchu szopą o płaskim dachu – znalazł stację w porządku, a Makolę pracującego jak zwykle z pilnością i spokojem; kazał postawić krzyż na grobie pierwszego agenta i naznaczył Kayerts na jego miejsce. Carlier został mianowany zastępcą. Dyrektor był człowiekiem zdolnym i bezwzględny; pozwalał sobie niekiedy – ale bardzo dyskretnie – na ponure żarty. Wygłosił mowę do Kayerts i Carliera, rozwodząc się nad korzystnym położeniem stacji. Najbliższy punkt handlowy oddalony był mniej więcej o trzysta mil. To wprost wyjątkowa okazja, aby się odznaczyć i mieć znaczny dochód z procentów od obrotów handlowych. Osadzenie obu agentów na tym stanowisku przedstawił jako łaskę wyświadczoną początkującym urzędnikom. Kayerts wzruszył się prawie do łez dobrocią zwierzchnika. Zaznaczył w odpowiedzi, że będzie usiłował uzasadnić

¹ *krępy* – niski i mocno zbudowany. [przypis edytorski]

swoim postępowaniem położoną w nim ufność i tak dalej, i tak dalej. Kayerts służył przedtem w administracji telegrafów i umiał się poprawnie wyrażać. Carlier, były podoficer kawaleryjski w armii, której bezpieczeństwo gwarantowało kilka mocarstw europejskich, przejął się znacznie mniej mową dyrektora. – Jeśli możemy liczyć na prowizję, to wcale² nieźle – pomyślał. Objął chmurnym spojrzeniem rzekę, lasy i nieprzenikniony gąszcz odcinający stację od pozostałego świata – i mruknął pod nosem: – Zobaczymy.

Nazajutrz parowiec podobny do pudełka od sardynek wyrzucił na brzeg kilka pak z bawełnianymi towarami i zapasem żywności, po czym odpłynął, aby wrócić znów za pół roku. Stojący na pokładzie dyrektor podniósł rękę do czapki w odpowiedzi na ukłony obu agentów – którzy stali na wybrzeżu, powiewając kapeluszami – i rzekł do starego urzędnika Spółki udającego się do głównej kwatery:

– Popatrz no pan na tych dwóch durniów. Chyba powariowali tam, w kraju, żeby przysłać mi takie okazy. Powiedziałem im, że mają założyć ogród warzywny, zbudować nowe składy, płoty i molo. Założę się, że nic z tego nie będzie zrobione. Nie potrafią nawet zabrać się do roboty. Byłem zawsze zdania, że stacja nad tą rzeką jest zupełnie bezużyteczna, a oni obaj świetnie się do tej stacji nadają.

– Wyrobiją się – rzekł stary wyga ze spokojnym uśmiechem.

– W każdym razie pozbyłem się ich na sześć miesięcy – odparł dyrektor.

Obaj agenci ścigali wzrokiem parowiec, póki nie znikł za zakrętem, po czym wzięwszy się pod ramię wdrapali się na stromy brzeg i wrócili na stację. Przebywali od niedawna w tym kraju rozległym i niezbadanym, znajdując się ciągle wśród białych, pod okiem i przewodnictwem zwierzchników. A teraz – ponieważ ich tępe dusze nie ulegały subtelnym wpływom otoczenia – poczuli się bardzo samotni znalazłszy się nagle w bezpośrednim zetknięciu z dziczą – która wydawała się jeszcze dziwniejsza i bardziej niezrozumiała wskutek tajemniczych przejawów bujnego życia. Kayerts i Carlier byli okazami ludzi idealnie bezbarwnych i niedołącznych; istnienie ich umożliwiał tylko wysoki poziom organizacji właściwej tłumom cywilizowanym. Niewielu zdaje sobie sprawę z tego, że ich życie, istota ich charakteru, zdolności ich i zuchwalstwa wypływają tylko z wiary w bezpieczeństwo otoczenia. Odwaga, spokój, zaufanie; uczucia i zasady; wszystkie wielkie i wszystkie błahe myśli należą nie do jednostki, lecz do tłumu: do tłumu, który wierzy ślepo w niewzruszoną siłę swych instytucji i swej moralności, w potęgę swej policji i swej opinii. Ale zetknięcie się z nagą, nieokiełznaną dziczą, z pierwotną naturą i pierwotnym człowiekiem wzbudza w sercu nagły i głęboki niepokój. Poczucie, że się jest jednym jedynym ze swej rasy; jasne uświadomienie sobie samotności swych myśli, swych wrażeń, zaprzeczenie tego, co jest zwykłe, co jest pewne – wszystko to łączy się ze stwierdzeniem niezwykłości, która jest groźna, z odczuciem rzeczy niewyraźnych, nieuchwytnych i odrażających, których niepokojące wtargnięcie podnieca wyobraźnię i wstrząsa nerwami zarówno głupich, jak i mądrych ludzi.

Kayerts i Carlier szli trzymając się pod rękę i tuląc się do siebie jak dzieci w ciemnościach – i obaj mieli jednakowe, nawet niekoniecznie przykre wyczucie niebezpieczeństwa, które uważa się raczej za wytwór wyobraźni. Gawędzili poufale i bez przerwy.

– Nasza stacja jest ładnie położona – odezwał się jeden. Drugi potwierdził to z zapalem, rozwodząc się obszernie nad pięknnością okolicy. Przechodzili właśnie obok grobu:

– Biedaczysko! – odezwał się Kayerts.

– Umarł na febrę, prawda? – mruknął Carlier i przystanął.

– Jakże nie miał umrzeć – odparł Kayerts z oburzeniem – mówiono mi, że lekkomyślnie włóczył się po słońcu. Każdy przyzna, że tutejszy klimat wcale nie jest gorszy od naszego, tylko trzeba wystrzegać się słońca. Słyszysz, Carlier? Ja jestem tutaj panem i rozkazuję ci, abyś się nie włóczył po słońcu!

² wcale (daw.) – całkiem. [przypis edytorski]

Przybrał żartobliwy ton zwierzchnika, ale w gruncie rzeczy mówił poważnie. Myśl, że mógłby pochować Carliera i pozostać samotny, przejmowała go dreszczem. Poczuł nagle, że ten Carlier bliższy mu jest tutaj, w środku Afryki, niż rodzony brat w innych okolicznościach. Carlier, wpadając w ten sam ton, zsalutował i odparł rześko:

– Rozkaz pana będzie wykonany, panie naczelniku! – Roześmiał się, poklepał Kayertsza po ramieniu i zawołał: – Dobrze się nam będzie działo! Mamy tylko siedzieć na miejscu i zbierać kość słoniową, którą te dzikusy będą nam przynosiły. W gruncie rzeczy ten kraj ma swoje dobre strony!

Wybuchnęli obaj głośnym śmiechem, a Carlier pomyślał:

– Biedny ten Kayerts; taki jest tłusty i nietęgo się czuje. To by było straszne, gdybym go musiał tu pochować. Mam dla niego dużo szacunku... – Nim jeszcze znaleźli się na werandzie, mówili jeden do drugiego „mój kochany”.

Pierwszego dnia byli bardzo czynni; kręcili się po całym domu z młotkami, gwoździami i czerwonym perkalem, zawieszając firanki i w ogóle usiłując nadać domowi wygląd miły i przytulny; postanowili urządzić sobie wygodnie nowe życie. Ale to zadanie było ponad ich siły. Skuteczna walka z trudnościami nawet czysto materialnej natury wymaga więcej pogody ducha i wzniosłej odwagi, niż ludzie na ogół przypuszczają. Niepodobna³ było wyobrazić sobie osobników gorzej do takiej walki przygotowanych. Społeczeństwo, które wzięło pod opiekę tych dwóch ludzi – bynajmniej nie przez troskliwość, lecz wskutek osobliwych swych potrzeb – zakazało im wszelkiej niezależnej myśli, wszelkiej inicjatywy, wszelkiego odchylenia od rutyny; i to pod karą śmierci. Mogli żyć tylko pod warunkiem, że staną się automatami. A teraz – uwolnieni od opieki ludzi z piórem zatkniętym za ucho czy też ludzi z galonem⁴ na rękawie, byli jak ci dożywotni więźniowie oswobodzeni po wielu latach, którzy nie wiedzą, co robić z wolnością. Nie wiedzieli, jaki użytek zrobić ze swoich uzdolnień, ponieważ obaj dla⁵ braku wprawy – nie umieli powziąć ani jednej niezależnej myśli.

Po upływie dwóch miesięcy Kayerts odzywał się często: – Nie zobaczylibyście mnie tu nigdy, gdyby nie moja Melie. – Melie była to jego córka. Chcąc zarobić na posag dla dziewczyny, rzucił posadę w administracji telegrafów, choć przez siedemnaście lat czuł się tam idealnie szczęśliwy. Żonę stracił już dawno, a wychowaniem dziecka zajmowały się jego siostry. Żałował ulic rodzinnego miasta, bruków, kawiarni, długoletnich przyjaciół: wszystkich rzeczy, na które patrzył dzień po dniu; wszystkich myśli nasuwanych przez znane przedmioty – łatwych, jednostajnych i spokojnych myśli państwowego urzędnika; żałował plotek, małostkowych zadrażnień, łagodnego jadu i kawałów, które składają się na atmosferę biur rządowych. Carlier oświadczał ze swej strony: – Gdybym miał za szwagra człowieka porządnego, człowieka z sercem – nigdy bym się tu nie znalazł. – Carlier porzucił służbę w wojsku i tak się naprzykrzał rodzinie przez lenistwo i natrętą bezczelność, że szwagier jego doprowadzony do ostateczności uczynił nadludzkie wysiłki, aby umieścić go w **Spółce** jako drugorzędnego agenta. Nie posiadając ani jednego pensa, Carlier musiał się zgodzić na tę posadę, z chwilą gdy zrozumiał jasno, że niczego więcej nie zdoła wycisnąć z krewnych. Podobnie jak i Kayerts żałował dawnego życia. Żałował podźwiewku szabli i ostróg, spacerów w piękne popołudnia, koszarowych dowcipów, dziewcząt z miast, gdzie stali garnizonem; ale poza tym wszystkim żywił jeszcze żal do świata. Był oczywiście ofiarą krzywd i niesprawiedliwości. Z tego powodu zasępiął się czasem. Lecz obaj mężczyźni harmonizowali ze sobą doskonale, złączeni wspólną głupotą i lenistwem. Nie robili nic, ale to nic dosłownie i rozkoszowali się swoją beczynnością, za którą im płacono. Z czasem rozwinęło się w nich obu coś na kształt wzajemnego przywiązania.

Żyli niby ślepcy w wielkim pokoju, zdając sobie sprawę, i to niedokładnie – tylko z rzeczy, z którymi się stykali – lecz niezdolni byli absolutnie do ogarnięcia całokształtu zjawisk. Rzeka, las i rozległy kraj tętniący życiem, wszystko to przedstawiało dla nich wielką pustkę. Nawet jaskrawy

³ *niepodobna* (daw.) – nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

⁴ *galon* – naszywka na mundurze wykonana ze srebrnej lub złotej taśmy. [przypis edytorski]

⁵ *dla* (daw.) – z powodu. [przypis edytorski]

blask słońca nie rozświetlał niepojętych zjawisk, które przesuwają się przed ich oczyma bez żadnego związku ani też celu. Rzeka zdawała się wypływać znikąd i nigdzie nie dążyć. Płynęła przez próżnię. Z tej próżni wyłaniały się niekiedy łódki i ludzie z włócznieami zalegali tłumnie dziedziniec stacji. Byli nadzy, połyskliwie czarni i zbudowani nieskazitelnie, zdobyły ich śnieżne muszle i błyskotki z miedzianego drutu. Głosy zlewały się w gwar dziwaczny i świegotliwy, ruchy mieli dostojne, a oczy ich – zalęknione i nieznające spoczynku – rzucały szybkie, dzikie spojrzenia. Siedzieli na piętach przed werandą w pięć albo i więcej długich rzędów, podczas gdy ich wodzowie targowali się godzinami z Makolą o kiel słońca. Kayerts siedział na krześle i spoglądał z góry na te poczynania, nic zgoła nie rozumiejąc. Wytrzeszczał na nich okrągłe niebieskie oczy i wołał do Carliera:

– Popatrz no – o tam! Widzisz tego draba i tego drugiego z lewej strony. Widziałeś ty kiedy taką twarz? Ach, cóż za śmieszna bestia!

Carlier, pykając z krótkiej drewnianej fajki napchanej krajowym tytoniem, zbliżał się zawadiackimi krokami, podkręcał wąsa i ogarniał wojowników spojrzeniem wyniosłym a pobłażliwym.

– W samą porę. – Piękne zwierzęta – oświadczał. – Przynieśli trochę gnatów, co? Popatrz no na muskuły tego draba – trzeciego z rzędu. Nie miałbym ochoty dostać od niego pięścią w nos. Ramiona ma piękne, ale nogi od kolan w dół – do niczego. To żaden materiał na kawalerzystę. – I spoglądał przychylnie na własne piszczele, konkludując niezmiennie: – Brr, jak oni śmierdzą! Ty, Makola, zabierz to stado do fetysza (na każdej stacji nazywano skład fetyszem, może ze względu na gnieżdżącego się w nim ducha cywilizacji) i daj im trochę tego śmiecia, które tam trzymasz. Wolałbym, żeby skład był pełen kości słoniowej niż tych gałganów.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «Литрес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на Литрес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.